

KAMIEŃ W LUSTRZE

Antologia literatury chińskiej XX i XXI wieku

pod redakcją naukową Lidii Kasarekło



Państwowy Instytut
Wydawniczy

Shen Congwen

Urodził się jako Shen Yuehuan w roku 1902 w Hunanie, w rodzinie o wojskowych tradycjach i mieszanym rodowodzie: jego babka ze strony ojca pochodziła z ludu Miao, a matka z ludu Tujia. Przez większość życia identyfikował się jako Han, dopiero w późnych latach zmienił swoją przynależność narodowościową na Miao. Początkowo pobierał nauki w domu, a w roku 1915 poszedł do szkoły podstawowej w Fenghuangu, którą ukończył dwa lata później. Wstąpił wtedy do oddziałów lokalnej milicji, gdzie pełnił funkcje urzędnicze. W 1922 r. wyjechał do Pekinu. Fakt ukończenia tylko szkoły podstawowej uniemożliwił mu formalne przyjęcie na studia, został więc wolnym słuchaczem na Uniwersytecie Pekińskim. Od roku 1924 zaczął publikować w ważnych czasopismach związanych z Ruchem Nowej Kultury. Poznał wybitne postaci ówczesnej sceny literackiej, takie jak Xu Zhimo czy głośna pisarka Ding Ling i jej mąż, dramaturg Hu Yepin. W roku 1928 razem z Ding Ling i Hu Yepinem we troje wyjechali do Szanghaju, gdzie założyli wydawnictwo i czasopismo literackie „Czerwone i Czarne” (*Honghe*). Dzięki wstawiennictwu wybitnego działacza Ruchu Nowej Kultury i filozofa Hu Shi Shen Congwen otrzymał posadę wykładowcy w Instytucie Chińskim Wusong w Szanghaju. Rok później rozpoczął pracę w Uniwersytecie Qingdao, w którym pracował przez następne dwa lata, a w 1933 po powrocie do Pekinu został redaktorem dodatku literackiego jednej z najważniejszych ówczesnych gazet „Dagongbao”. Po wybuchu wojny z Japonią w 1937 r. opuścił Pekin, a w roku następnym rozpoczął pracę w Zjednoczonym Narodowym Uniwersytecie Północnozachodnim. W roku 1946 wrócił do Pekinu, gdzie podjął pracę w Uniwersytecie Pekińskim, z którego został usunięty w roku 1949. Po powstaniu ChRL całkowicie zarzucił karierę pisarską i swoje zainteresowania skupił przede wszystkim na badaniach historycznych. Na skutek ataków politycznych w roku 1950 usiłował popełnić samobójstwo. W tym samym roku rozpoczął też pracę w Chińskim Muzeum Narodowym, w którym pracował do roku 1978, kiedy został oficjalnie „zrehabilitowany” politycznie, po okresie prześladowań w czasie rewolucji kulturalnej. W roku 1980 wyjechał na zaproszenie do

Stanów Zjednoczonych, a rok później opublikował *Studia nad historią stroju chińskiego*, nad którymi pracował przez piętnaście lat. Zmarł na atak serca w roku 1988 – tym samym, w którym został nominowany do nagrody Nobla.

Shen Congwen uważany jest za jednego z najważniejszych i najwybitniejszych pisarzy okresu republikańskiego w Chinach. W swoich utworach stronił od kwestii politycznych i skupiał się na opisie ludzkich postaw w różnych sytuacjach, od codziennych do skrajnych. Akcję swoich powieści, nowel i opowiadań często umieszcza w rodzinnym Hunanie.

Nowela *Miasto graniczne* uważana jest za najdoskonalsze dzieło Shen Congwena.

Miasto graniczne

Na trasie z Syczuanu do Hunanu po wschodniej stronie znajduje się tzw. droga urzędnicza. Ta droga, zbliżając się do granic Hunanu Zachodniego, natrafia na małe górskie miasteczko, które nazywa się Chadong. Jest tam rzeczka, nad rzeczką stoi biała pagoda, a pod pagodą mieszkała kiedyś samotna rodzina. W tej rodzinie był tylko starzec, dziewczynka i żółty pies.

Rzeczka okrąża wzgórze i mniej więcej po trzech milach¹ wpada do dużej rzeki, płynącej przez Chadong. Ale droga do miasta wyniesie zaledwie jedną milę, jeśli przeprowić się przez rzeczkę i przejść dalej wzgórzem. Ta różnica w odległości bierze się stąd, że rzeczka płynie łukiem, a droga przez wzgórze stanowi jego cięciwę. Rzeczka ma około dwudziestu zhangów² szerokości, dno utworzone z wielkich płaskich kamieni, a jej spokojny nurt jest miejscami tak głęboki, że tyczką nie sięgnie się dna. Wszędzie jednak jest bardzo przejrzysta – można w niej policzyć pływające ryby. Ponieważ łączy Syczuan z Hunanem, poza tym często przybiera i opada, a nigdy nie starczało pieniędzy na budowę mostu, umieszczono na niej łódź z płaskim dziobem, kursującą jak prom. Prom przewoził ludzi i zwierzęta. Za jednym razem mógł pomieścić około dwudziestu osób, a jeśli pasażerów było więcej, obracał kilka razy. Na dziobie znajdował się bambusowy słupek, na którym wisało ruchome żelazne

¹ Chodzi o li, tzw. chińską milę, która liczy 500 metrów, czyli pół kilometra. (Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² zhang – chińska jednostka miary, wynosi 3,3 m.

kółko, a między dwoma brzegami rzeki przeciągnięto kawał starej liny. Gdy ktoś się przeprawiał, zaczepiano o nią kółko, przewoźnik mocno chwycił się liny i powolutku przeciągał prom na drugą stronę rzeczki. Kiedy dobijał do brzegu, pokrzykiwał: „Ostrożnie, ostrożnie!”, żwawo wyskakiwał na ląd i ciągnął za kółko, a wtedy ludzie z towarami i zwierzętami schodzili z promu i po chwili znikali za wzgórzem.

Prom był własnością publiczną i pasażerowie nie musieli płacić za przeprawę. Niektórzy czuli się z tym nieswojo, więc i tak rzucali na pokład garść miedziaków, ale przewoźnik zbierał wtedy monety jedną po drugiej i z powrotem wciskał je ludziom do ręki, tłumacząc gorąco:

– Ja mam co jeść, dostaję trzy garnce³ ryżu i siedemset qianów⁴, wystarczy! Nie potrzeba!

Niektórym sumienie wciąż nie dawało spokoju, bo jak to tak, praca bez zapłaty? Zawsze zdarzył się ktoś uparty, kto – choćby nie wiem co – i tak zostawił pieniądze. Z tym to znowu przewoźnik nie mógł się pogodzić i dla spokoju ducha prosił kogoś, żeby za te grosze kupił w Chadongu herbaty i tytoniu. Wiązki najlepszego tytoniu z miasteczka wieszał sobie przy pasie i hojnie częstował potrzebujących. A czasem, kiedy zauważył, że podróżny z dalekich stron przyglądał się tytoniowi u jego pasa ze szczególną uwagą, wkładał mu garść do torby i mówił:

– Bracie, a może to byś zapalił? Ten jest dobry, najlepszy! Niby nie najpiękniejszy i liście ma takie wielkie, ale świetnie smakuje i dobry na prezent!

Liście herbaty zaś w najgorętszym okresie wrzucał do wielkiego słoja, zalewał wrzątkiem i zaparzał, żeby przechodnie mogli ugasić pragnienie.

Przewoźnikiem był właśnie ten staruszek spod pagody. Przeżył już siedemdziesiąt lat, a odkąd skończył dwadzieścia, pracował na promie i kto wie, ilu ludzi już przewiózł przez te pół wieku. Był stary i powinien odpocząć, ale niebo się na to nie godziło i nie mógł jakoś

³ garniec dou – chińska miara objętości, wynosi nieco ponad 10 litrów.

⁴ qian – chińska moneta miedziana.

rozstać się ze swoją pracą. Nigdy nie zastanawiał się nad jej sensem, po prostu żył sobie cicho i uczciwie. Ale to nie niebo sprawiało, że o wschodzie nabierał sił, aby żyć, a o zachodzie nie myślał nigdy, by odejść razem ze słońcem – sprawiała to dziewczynka, którą miał przy sobie. Jego przyjaciółmi byli tylko prom i ten żółty pies, a z krewnych miał tylko dziewczynkę.

Matka dziewczynki była jedyną córką starego przewoźnika. Kiedy skończyła siedemnaście lat, zakochała się w pewnym żołnierzu z Chadongu, ukrywając to przed swym dobrym i uczciwym ojcem. Gdy zaszła w ciążę, żołnierz chciał, żeby z nim uciekła w dół rzeki, ale to oznaczałoby, że on porzuci swój żołnierski obowiązek, a ona zostawi samotnego ojca. Mężczyzna zobaczył, że dziewczynie brak odwagi do dalekich wędrówek, a sam nie chciał też zbrukać swego żołnierskiego honoru, pomyślał więc sobie, że choć razem żyć nie mogą, to umrzeć razem, nikt im nie przeszkodzi. I pierwszy zażył truciznę. Dziewczyna jednak martwiła się o to, co rosło już w jej brzuchu, żał jej było i nie mogła się zdecydować. Ojciec przewoźnik był świadom wszystkiego, nie powiedział jednak ani jednego złego słowa i – jakby o niczym nie wiedział – spokojnie żył jak dawniej. Choć córkę dręczył wstyd, przez miłosierdzie została przy boku ojca, zaczęła, aż dziecko się urodzi, a potem poszła nad rzeczkę, napiła się zimnej wody i umarła. A wtedy zdarzył się niemal cud. Zostawiona przez matkę sierota przeżyła i urosła, a że lata płyną szybko, miała już trzynaście lat. Ponieważ mieszkali przy wzgórzach porośniętych bambusami i wszystko tu tonęło w pięknej nefrytowej zieleni, stary przewoźnik nazwał to swoje osierocone kurczątko Cuicui – Nefrytka.

Cuicui dorastała na słońcu i wietrze, skórę miała ciemną, a jej oczy, zapatrzone w zielone góry i lazurowe wody, były przejrzyste i lśniły jak kryształ. Wykarmiona i wychowana przez naturę była niewinna i żywa jak młode zwierzątko. Łagodna jak górski jelonek nie miała w sobie nic z okrucieństwa, smutku czy złości. Kiedy jakiś nieznajomy na promie przyciągnął jej uwagę, wpatrywała się w niego błyszczącymi oczami, gotowa w każdej chwili poderwać się i uciec w góry, ale gdy rozumiała, że obcy nie ma wobec niej złych zamiarów, dalej spokojnie bawiła się na brzegu.

Czy słońce, czy deszcz, stary przewoźnik czuwał przy promie. Jak trzeba było kogoś przewieźć, pochylony, z obiema rękami na linie, przeciągał prom w poprzek rzeczki. Czasami, kiedy się zmęczył,

shen
congwen

miasto
graniczne

kładł się na wielkim kamieniu na brzegu i zasypiał. Gdy po drugiej stronie ktoś krzykiem i machaniem domagał się przeprawy, Cuicui nie pozwalała dziadkowi wstać, tylko sama wskakiwała do łodzi i z wielką zręcznością, gładko i bez błędu przewoziła pasażera. A czasem byli na promie we troje, z żółtym psem, wtedy Cuicui i dziadek razem ciągnęli linę, a gdy zbliżali się do brzegu i dziadek wołał swoje „Ostrożnie, ostrożnie!”, Żółty chwycił linę w pysk, pierwszy wyskakiwał na brzeg i zupełnie jakby rozumiał, na czym polega ta praca, z całej siły ciągnął prom do brzegu. Ludzie ze wsi koło Chadongu nie tylko znali dziadka przewoźnika i jego wnuczkę, ale też bardzo lubili ich psa.

W ładne dni, jeśli nikt nie chciał się przeprawiać i mieli wolny czas, dziadek i Cuicui siadali na wielkim kamieniu przed drzwiami pagody i wygrzewali się w słońcu albo rzucali do rzeczki drewnianki, a pies skakał z kamienia i przynosił je z powrotem. Albo też Cuicui i Żółty nadstawiali uszu i słuchali dziadkowych opowieści o wojnie sprzed wielu lat. A czasem dziadek i wnuczka robili z bambusa fujarki i wygrywali na nich weselne melodie. Kiedy pojawił się ktoś do przeprawy, stary przewoźnik odkładał fujarkę, wsiadał na prom i przewoził pasażera, a Cuicui patrzyła z kamienia i wołała swym cienkim głosem:

– Dziadku, dziadku, ja zagram, a ty zaśpiewaj!

Dziadek na środku rzeki chętnie zaczynał śpiewać, a gdy jego ochrypły głos wraz z melodią fujarki niósł się w cichym powietrzu, na rzece robiło się weselej. (W rzeczywistości zaś przez tę piosenkę wszystko jakby stawało się cichsze).

Czasami przez rzeczkę przeprawiano cielęta, owce albo weselną lektykę z panną młodą. Cuicui zawsze upierała się wtedy przewozić i stojąc na promie, ciągnęła linę leniwie, żeby łódź poruszała się jak najwolniej. Kiedy cielęta, owce czy lektyka schodziły już na brzeg, Cuicui szła jeszcze chwilę za nimi, a potem stawała na górze i długo za nimi patrzyła. Dopiero kiedy były już daleko, wracała na prom i przeciągała go w stronę domu. Sama dla siebie po cichutku naśladowała muczenie krów i beczenie jagniąt albo wpinała we włosy polne kwiaty i udawała pannę młodą.

Górskie miasteczko Chadong oddalone było od promu tylko o jedną milę. Jeśli dziadek nie szedł sam do miasta po olej, sól albo na kieliszek wódki w Nowy Rok, Żółty i Cuicui wyruszali razem po

zakupy. Grube wiązki makaronu sojowego, wielkie słoje z białym cukrem, sznury petard, czerwone świece w sklepiu z różnościami zawsze robiły na Cuicui wielkie wrażenie i kiedy wracała do dziadka, długo mu o wszystkim opowiadała. W mieście były też barki, które przypłynęły tu z dolnego biegu rzeki, i dziesiątki marynarzy rozładujących towary. Te barki były dużo większe i ciekawsze niż prom, o nich także Cuicui długo nie mogła zapomnieć.

| 2 |

Chadong to miasto warowne położone w górach nad wodą. Od strony gór jego mury niczym wąż wiły się po zielonych wzgórzach, od strony rzeki, za murem zostało trochę wolnej przestrzeni. Zbudowano tu przystanie, a w zatoczkach cumowały małe łódki. Barki płynące w dół rzeki wiozły olej tungowy, sól ze słonych jezior, sumakowe barwniki. Te zaś, które podążały w górę rzeki, niosły bawełnę, przędzę bawełnianą, różne płótna i suszone ryby. Przystanie łączyła nadrzeczna ulica, na której domy w połowie znajdowały się na lądzie, a w połowie wysunięte były nad rzekę. Miejsca było mało, więc wszystko to były tzw. domy brodzące, o przedniej ścianie wspartej na palach. Gdy na wiosnę rzeka przybierała i woda zalewała ulicę, ludzie z Nadrzecznej brali długie drabiny, jednym końcem opierali je na dachu, a drugim na miejskim murze i tak, złorzecząc i wyrzekając, dzwigając różne tobołki, pościel i garnki z ryżem, po drabinach przechodzili do miasta wewnątrz murów, a kiedy wody się cofnęły – wracali. Czasami, gdy szczególnie gwałtowny przybór zalewał część domów na Nadrzecznej, ludzie na murach byli bezsilni, mogli się tylko przyglądać. Sami poszkodowani patrzyli tak samo bezradnie, machnąwszy już ręką na poniesione straty – tak to przecież bywa we wszelkich przypadkach naturalnych nieszczęść, na które nic nie można poradzić. W czasie powodzi z murów można też było zobaczyć, jak nagle poszerzoną rzeką, w jej rozlanym, potężnym nurcie woda idąca z gór niosła ze sobą domy, woły, owce, wielkie drzewa... Przed nieruchomą barką celną, gdzie prąd był spokojniejszy, pojawiały się małe sampany, a wiosłarze, widząc niesione wodą zwierzę, drewno albo łódź z płaczącą kobietą czy dzieckiem, wiosłowali ze wszystkich sił w dół rzeki i tam wypływali naprzeciw upatrzonego

shen
congwen

miasto
graniczne

obiektem, przywiązywali go długim sznurem i holowali do brzegu. Ci odważni śmiałkowie – tak jak wszyscy miejscowi – kierowali się i dobrocią serca, i pragnieniem zysku. Jeśli nawet nie chodziło im o ratowanie dóbr czy ludzi, a jedynie o samą przyjemność podejmowania ryzyka, to wykazywali się taką zręcznością i odwagą, że obserwujący ich z brzegu widzowie nie mogli powstrzymać się od wiwatów.

Ta rzeka, znana w historii pod nazwą Youshui, nazywała się tutaj Baihe – Biała. W swym dolnym biegu, dopływając do Chenzhou, Biała zlewa się z Yuanshui i tam staje się już trochę mętna, jak woda z górskich źródeł, kiedy wypłynie z gór. Ale jeśli popłynąć Białą w górę, natrafi się na kilkumetrowe głębiny tak przejrzyste, że można zobaczyć dno. Gdy prześwieczone są słońcem, na dnie wyraźnie widać białe kamyki i barwne, prążkowane agaty, a pływające w wodzie ryby wydają się unosić w powietrzu. Po obu brzegach wznoszą się wysokie góry, porośnięte cienkimi bambusami, z których wyrabia się papier. Z upływem lat te rośliny nabierają głębokiej, szmaragdowej barwy.

Domy położone przy rzece otoczone były zwykle morelowymi sadami i kiedy wiosną widziało się kwitnące morele, wiadomo było od razu, że są tam ludzkie siedziby – a tam, gdzie ludzkie siedziby, zawsze można było dostać dobrej wódki. Latem to suszące się w blasku słońca, błyskające fioletem płóciennym spodnie niczym chorągwie znaczyły ludzkie osady. A znowuż jesienią i zimą wzrok przyciągały położone na zboczach lub przy rzece wsie, takie jak Wangcun, Baojing, Liye czy inne niezliczone, bezimienne górskie wioseczki. Ich żółte, gliniane ściany i czarne dachówki, przesłicznie ułożone, w harmonii i zgodzie z otaczającym je krajobrazem, robiły na ludziach radosne wrażenie. Żaden przybysz, jeśli trochę był czuły na poezję i malarstwo, choćby podróżował miesiąc i dłużej, skulony w swej łódeczce na środku rzeki, tutaj nigdy nie czuł się znudzony, bo wszędzie napotykał cuda natury, fascynujące i zachwycające swą zuchwałością lub niezwykłym artyzmem.

Źródła Białej wypływają z granic Syczuanu i łódź płynąca w górę rzeki może w czasie wiosennego przyboru dopłynąć prosto do Xiushan w Syczuanie, ale w granicach Hunanu Chadong stanowi jej ostatni port. Szerokość Białej w Chadongu wynosi około pół chińskiej mili, a kiedy jesienią i zimą wody opadają, nurt szeroki jest zaledwie na niepełne dwadzieścia zhangów, resztę zaś koryta

pokrywają zielone kamienie. Żadna barka, która tu dopłyne, nie da rady pójść dalej w górę rzeki, dlatego też wszystkie towary – dowożone i wywożone ze wschodniego Syczuanu – tutaj się przeładowuje. Ładunki z Syczuanu tragarze przynoszą do Chadongu w dźwiganych na ramionach nosidłach, towary do Syczuanu tutaj się pakuje i transportuje dalej także ludzkimi siłami.

W mieście znajdował się garnizon osiadłych żołnierzy, przekształcony z dawnej qingowskiej Armii Zielonej Chorągwi, i mieszkało tu około pięciuset rodzin. Poza drobnymi kapitalistami, którzy posiadali w górach pola i olejarnie albo na kredyt sprzedawali olej, ryż i bawełnę, większość tych rodzin wywodziła się od osiedlonych tu wcześniej wojskowych. Znajdował się tu także urząd cel rzecznych, ulokowany poza murami miejskimi, w dolnej części ulicy Nad-rzecznej. Mieścił się w małej świątyni, na której zawieszono długą chorągiew, a sam poborca mieszkał wewnątrz miasta. Żołnierze kwaterowali w starym urzędzie wojskowym, ale tylko dzięki trębaczowi, który codziennie wspinał się na mury i wygrywał hejnał, ludzie wiedzieli, że stacjonuje tu wojsko, żołnierzy jakby wcale tu nie było.

W zimowe dni, przed drzwiami wszystkich domów w mieście widziało się suszące się ubrania i warzywa. Pod okapami wisiały czerwone pataty, w brązowych płaszczach z palmowych włókien, także zawieszonych u okapów, niczym w torbach zebrane były kasztany, orzechy i im podobne owoce w twardych skorupkach. Za węglami domów gdakały kury i kurczęta. Wśród tego wszystkiego zawsze jakiś mężczyzna stał przed progiem i piłował deski albo rąbał siekierą drewno, a polana układał na podwórku w pryzmy podobne do pagód. Widziało się też kobiety w średnim wieku, które w upranych, nakrochmalonych niebieskich ubraniach i białych, płócien-nych fartuchach, pochylone w słonecznym blasku, pogrążone były w pracy i rozmowie. Zawsze panował tu ten sam spokój i ludzie pędzili swoje dni cicho i zwyczajnie. Taki spokój pobudza do rozmyślań nad ludzkim losem i do marzeń. Żyjąc w tym małym miasteczku, gdzie każdy naturalnie pozostawał na swoim miejscu, ludzie mieli też różne oczekiwania wobec losu. Ale o czym marzyli? Kto wie.

Ci, którzy mieszkali w miejscach położonych wyżej, stając przed drzwiami, mieli przed sobą piękny widok na rzekę i wszystko,

shen
congwen

miasto
graniczne

co się na niej działo. Gdy przyplýwały barki, z daleka przyglądali się burłakom. Niektórzy z nich przywozili znad dolnego biegu drobne słodycze i różne cudzoziemskie cukierki, przybiwszy do brzegu, nieśli je do miasta na sprzedaż. Gdy przyplýwały barki, to ci właśnie ciągnący je ludzie najbardziej pobudzali wyobraźnię dzieci. A dorośli brali świeżo wyklute kurczęta, ze dwie odchowane świnki i z płynącymi w dół marynarzami wymieniali je na parę złotych kolczyków, kilka metrów ciemnego płótna albo słój dobrego sosu sojowego czy podwójny klosz do lampy naftowej – na to, co wypełniało zwykle serca gospodyń.

Chociaż miasteczko było tak ciche i spokojne, znajdowało się przecież na zbiegu dróg handlowych, dlatego poza jego murami, na ulicy Nadrzecznej sytuacja przedstawiała się inaczej. Tu znajdował się hotelik, w którym zatrzymywali się kupcy, tu też – zawsze na posterunku – był fryzjer. Poza tym, ubarwiając tę nadrzeczną uliczkę, ulokowały się tutaj: gospoda, sklep z różnościami, sklep olejarski, skład soli i sklep bławatny. Ponadto był tu sklep z drewnianymi kołami łopatkowymi do barek, bambusowymi linami, słojami i garnkami, a także byli tacy, co zajmowali się kompletowaniem marynarskich załóg i żyli z portu.

Przed gospodą na długim stole stała zwykle płytka miska z usmażonym na złoto tofu z karpiem przybranym czerwonymi paskami ostrej papryki, a koło miski bambusowa tuba z wetkniętym w nią pękiem czerwonych pałeczek. Kto miał chęć wydać trochę pieniędzy, mógł usiąść przy długim stole i wziąć pałeczki, a wtedy zjawiała się przy nim kobieta z cienkimi, wyskubanymi brwiami, twarzą pokrytą białym pudrem i pytała:

– Szanowny bracie, panie oficerze, słodkiej wódki czy białej?

Mężczyzna co bardziej ognisty, dowcipny i taki, który miał oko na karczmarkę, niezmiennie odpowiadał z udawanym gniewem:

– Słodkiej wódki? A co ja dziecko jestem, żeby słodką wódkę pić?

Wtedy natychmiast w glinianej misce pojawiała się przed nim na stole mocna, paląca, biała wódka, zaczerpnięta bambusową warząchwią z wielkiego garnca.

W sklepiku sprzedawano zagraniczne lampy naftowe, naftę, świece i papier. W sklepie z olejem – olej tungowy, w składzie soli – zieloną sól z Huojin. W bławatnym można było kupić białą przędzę